

ISSN 1508-2393

PRACA nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI
Zeszyt 49. Kraków, lipiec 2008 r.

NIEBO RELIGIJNE - NIEBO ASTRONOMICZNE

Myślę o zbawieniu i patrzę w górę. Myślę o potępieniu i patrzę ku dołowi. Dlaczego? Przecież Ziemia jest kulista, a Bóg jest wszędzie.

Sredniowiecze widziało o kulistości Ziemi. Wyobrażono sobie, że wokół Ziemi rozciągają się liczne sfery z orbitami Księżyca, Merkurego, Wenus, Słońca, planet dalszych niż Słońce, a potem sfera gwiazd stałych, jakaś sfera co te gwiazdy porusza zwana *primum mobile*, a to wszystko obejmuje niewidoczne, czysto duchowe *Empireum*, gdzie mieszka Bóg z aniołami i przebywają zbawione dusze. Przecież w koledzie „W żobie leży” do dziś ci, co pamiętają wszystkie zwrotki, śpiewają:

*Miłość Boża to sprawiła,
Co człowieka wywyższyła
Pod nieba empirejskie.*

Trzeba powiedzieć, że to paradoks, aby duchowi wyznaczać geometryczne miejsce w przestrzeni.

Ale i święty Paweł w Liście do Koryntian (12:2) mówi o trzecim niebie, a niektórzy teolodzy doliczyli się aż siedmiu nieb. Pewni ojcowie Kościoła wyraźnie piszą o różnych warstwach światów duchowych o niebie, piekle, o sferach, gdzie się dusze oczyszczają zanim mogą się znaleźć w wysokich warstwach nieba. Jednocześnie wyjaśniają, że mówiąc o różnych sferach używają języka symbolicznego. Bo naprawdę Bóg, aniołowie, całe niebo, dusze zbawione i te, które się dopiero szykują do wejścia do nieba, są tuż obok nas. Wie to z własnego doświadczenia, kto ma otwarty wzrok duchowy.

Przed Chrystusem u wielu narodów istniały misteria, wtajemniczenia, szkolenia otwierające ten wzrok. Hinduska joga i kilka innych typów szkoleń orientalnych przetrwało do dziś. Także Żydzi mieli swoje systemy kształcenia duchowego, swoje szkoły prorockie. Szkoła Eliasza, prowadzona później przez Elizeusza jest opisana w wielu epizodach w Drugiej Księdze Królewskiej. Jej uczniowie są nazywani „synami prorockimi”; z treści wynika jasno, że nie idzie tam o fizycznych potomków proroków. Ta szkoła po jej schrystanizowaniu istnieje do dziś w postaci zakonu karmelitów i karmelitanek. W czasach ziemskiego życia Chrystusa, owe szkoły działały jeszcze według dawnych metod.

Język ludzki ukształtował się przede wszystkim dla potrzeb życia fizycznego. Wysokie sprawy duchowe były nie do wypowiedzenia językiem. Można je było przybliżyć symbolami zrozumiałymi dla wtajemniczonych. Dam tu przykład jednego tylko symbolu: figi. Drzewo figowe to symbol wtajemniczenia, owoc figi to wynik wtajemniczenia. Użyty jest ten symbol w Piśmie Świętym około 20 razy. Ograniczę się do przytoczenia trzech miejsc najłatwiejszych do zrozumienia. Oto Natanael zadufany w

swoje wtajemniczenie wąpi o tym, aby Jezus mógł pełnić poważną misję. Gdy jednak Jezus mu mówi, że widział go, gdy przechodził wtajemniczenie (gdy był pod figą), z miejsca przyznaje mu wysoką godność i otacza szacunkiem (Jan 1:48). Bez symbolicznego objaśnienia ten werwet nie ma sensu Z tego, że ktoś mnie widział, że ongiś fizycznie stałem, czy leżałem pod figą nie wynika żadna konieczność szacunku. W innym miejscu Chrystus łaknie, i przeklina drzewo figowe na którym nie znajduje owocu, bo nie jest czas na figi (Marek 11:12-14,20-22). I drzewo figowe wędnie natychmiast. W sensie dosłownym oznaczałoby to głupotę i ślepą złość kogoś, kto szuka owocu poza sezonem na drzewie, a nie znajdując go, bo i skąd, niszczy drzewo. Symbolicznie rzecz jest jasna. Chrystus łaknie rozwoju duchowego ludzi, dawne wtajemniczenia (figa) już są nie na czasie (nie dają owocu). Chrystus każe dawnym metodom zwiednąć, bo właśnie ma otworzyć nowe drogi do duchowości. Dzieje się to przecież kilka dni przed Jego zbawczą ofiarą. Ten sam temat porusza epizod z Zacheuszem (Łukasz 19:2-8). Zacheusz chce się dowiedzieć, kto to naprawdę jest ten Jezus. Szuka odpowiedzi przez dawne wtajemniczenie, ale ono już nie działa (figa jest płonna). Jezus mówi mu, zrezygnuj z tego wtajemniczenia (zejdź z tej figi) bezpośrednio poznaj Mnie. Przyszedłem po to na świat, żeby nie trzeba było misteryjnych wtajemniczeń.

Bo chrześcijaństwo wiele rzeczy, dawniej tajemnych, uczyniło dostępnymi dla wszystkich. Nie tylko zbawiony może być każdy, ale droga mistyczna, droga wzroku duchowego jest dla wszystkich otwarta. Każdy może ją rozpocząć od adoracji Przenajświętszego Sakramentu, a potem rozwijać stosując metody dane przez wielkich chrześcijan. W historii Kościoła, nie zawsze było z tym tak prosto. Niektórzy usiłowali powrócić do dawnych wtajemniczeń. Inni tylko „wybranych” dopuszczali do ćwiczeń mistycznych. Historia chrześcijaństwa nie obydwała się bez zakrętów i cofnięć..

Czy to znaczy, że w chrześcijaństwie nie ma już mowy symbolicznej, że na wszystko można znaleźć zwykłe słowa? Chrześcijaństwo rozpoczęło się w strefie języków hebrajskiego (jako sakralnego) i aramejskiego (jako codziennego). Teologia chrześcijańska rozwinęła się w strefie języka greckiego, a język grecki pełen jest symboliki. Dusza po grecku to ψυχή (psyche), ale ten sam wyraz oznacza i życie. Natomiast na tym samym pierwiastku zbudowany czasownik ψυχω (psycho) znaczy dmucham. Coś jak po polsku „dech” i „duch”. Zaś wyraz πνευμα (pneuma) oznacza jednocześnie „duch” i „wiatr”. Podobnie wyraz κοσμος (kosmos) oznacza zarazem ład, porządek i Wszechświat. Jeśli więc Grek mówi, „duch tchnie gdzie chce”, to zarazem mówi, że wiatr wieje gdzie chce, zaś twierdząc, że Bóg jest panem ładu wypowiada kilka prawd na raz.

Po polsku astronomowie używają raczej wyrazu „Wszechświat”, a teologowie - „niebo”. Ale astronomowie obserwują ciała *niebieskie*, a teologowie mówią o Stwórcy *Wszechświata* Wraz z chórami anielskimi. Musimy się jakoś zgodzić, że niebo astronomiczne pozostaje symbolem nieba religijnego. Zerwanie z przedchrześcijańskimi wtajemniczeniami nie oznacza zerwania z symbolami.

Mówimy nie tylko słowami, ale wypowiadamy się gestami. A gesty są bardziej przesycone symbolami niż słowa. Gdy chcę wielbić potęgę Boga, mimo woli wznoszę oczy w górę, a więc ku niebu i ku niebu wyciągam ramiona, choć wiem, że ziemia jest okrągła, niebo astronomiczne dookoła ze wszystkich stron, a niebo religijne wszędzie, a więc i tu gdzie stoję. A gdy myślę o odrzuceniu zbawienia, o potępieniu, mimo woli kurczę się w sobie, wyobrażam sobie jakieś ciasne pomieszczenia, jaskinie, wnętrza Ziemi... To też symbole.

A jak sobie wyobrazić wniebowstąpienie Chrystusa? Chyba nie tak, że Jezus Chrystus oddalił się od apostołów w ten sposób jak się oddalał samolot opuszczający lotnisko, że stawał się coraz mniejszy dla oczu aż znikł jako punkcik za jakimś obłokiem. I chyba nikt w średniowieczu, mimo całego materializmu i pomieszczenia pojęć w ówczesnych poglądach na niebo religijne i astronomiczne, tak sobie tego nie wyobrażał. Przeciwnie, zarówno opis biblijny oraz dawne wyobrażenia jak i współczesne sugerują, że stawał się coraz większy, że rozplynał się w otaczających mgłach i obłokach, że objawszy sobą cały świat złączył się z inną płaszczyzną bytu. Nie zmalał perspektywnie, nie oddalił się. Pozostał z nami na zawsze.

Kto chce, niech się ze mnie śmieje, że ja mówiąc „Ojciec nasz, któryś jest w niebie” oczyma albo tylko myślowo spoglądam w górę, Taka jest naturalna mowa symbolicznych gestów.

brat Paweł

Odczyt wygłoszony w Planetarium Częstochowskim 12 III 2008 r.



O PRAWACH „NIE FIZYCZNYCH”

Gdy wytknąłem bratu Pawłowi błędną perspektywę jego artykułu zdającą się rzutować prawa fizyki na wszystkie płaszczyzny bytowania, mój list do redakcji został opublikowany („Praca nad sobą” zeszyt 48. s.27), ale zarazem zażądano ode mnie, abym nie poprzestał na krytyce nieostrożnie napisanego, ale opisał pozytywnie, w przystępny sposób, właściwości różnych poziomów bytu. Nie wypadło mi wtedy nie przyjąć tej propozycji, choć opisane w jednym artykule, a choćby i w cyklu artykułów, jak wglądają różne warstwy istnienia, różne poziomy nieba jest zadaniem niemożliwym do ścisłego spełnienia, zwłaszcza, jeśli ma się pisać w sposób zrozumiały również dla tych, co stawiają pierwsze kroki na ścieżce rozwoju wewnętrznego. Postanowiłem po namyśle dać tu pewien wstęp, pewne wprowadzenie do zagadnienia. Tyle potrafię zrobić - jak sądzę - bez powodowania dalszych nieporozumień.

Przede wszystkim musimy wziąć pod uwagę, że różne „płaszczyzny bytu”, różne „sfery”, czy „plany” nie są to wydzielone miejsca w naszej przestrzeni geometrycznej, ale obszary, do których możemy dotrzeć różnymi stanami świadomości. Bóg, jak go sobie możemy wyobrazić - na najwyższym tronie - jest blisko nas. Gdybyśmy mieli odpowiednią świadomość, czuliśmy bezpośrednio Jego stałą obecność. To samo dotyczy wszystkich warstw bytu i naszej - fizycznej, i tej gdzie przebywają święte dusze, które prawidłowo wykonały swoje zadania w naszym świecie, i gdzie oczyszczają się inne ze zbytecznego przywiązania do spraw niwartych tego. Wszystkie warstwy piekła i nieba są bliskie, tuż koło nas, odległe są jednak w skalach naszych świadomości. Symbolicznie pewne płaszczyzny bytu nazywamy wyższymi, inne niższymi.

Fizyczna płaszczyzna bytu nie jest w tym sensie najniższa. Istnieją płaszczyzny podfizyczne. Dziś człowiek nie ma do nich dostępu właściwą sobie świadomością. Praw tego poziomu bytu usiłuje dochodzić między innymi fizyka cząstek elementarnych. Tu nie będę się tymi niższymi płaszczyznami zajmował.

Fizyczna płaszczyzna bytu jest bezpośrednio dostępna dziennej świadomości wszystkich nas wcielonych aktualnie w ciała fizyczne. Ci, którzy przeżyli życie ziemskie z rozwiniętą świadomością ducha, mają po śmierci również możliwość pewnego percypowania spraw planu fizycznego. Kto natomiast przeżył życie w oderwaniu od ducha wierząc, że fizyczność jest jedyną rzeczywistością, teraz gdy się znajduje w wyższych sferach, uważa swoje dawne przeżycia w świecie fizycznym za nierealny sen. Wszystko, co opisał brat Paweł w skrytykowanym przeze mnie artykule („Praca nad sobą” zeszyt 47 s.1) dotyczy właśnie fizycznego poziomu bytu, gdzie 2 razy 2 zawsze się równa 4, gdzie ważne są zawsze prawa logiki.

Nieco wyższa od fizycznej jest tak zwana płaszczyzna eteryczna. Właściwie jest ona inną stroną płaszczyzny fizycznej. Dotyczy tej samej rzeczywistości ale inaczej percypowanej. Charakterystyczne jest tu postrzeganie wydarzeń w czasie, jako istniejących obok siebie. Nasze zmysły do postrzegania bytu eterycznego są jakby przygniecione przez ciało fizyczne. Ale są chwile, kiedy zwykły człowiek przez jakiś szok (na przykład przez świadomość bliskości śmierci) wysuwa swe ciało eteryczne poza fizyczne i wtedy miewa widzenie wydarzeń czasowych tak, jakby były poustawiane obok siebie. Odratowani tonący opowiadają czasem, że wiedzieli całe swoje życie w jednej chwili, w jednym obrazie. Wrodzona lub wycwiczona umiejętność wysuwania pewnych części ciała eterycznego poza fizyczne umożliwia widzenie w czasie, czyli daje pewne proste zdolności jasnowidzenia. Przeszłość widzi się jako wyraźnie zdeternowaną, przyszłość jako wyznaczoną do pewnego stopnia, ale w szczegółach zależną jeszcze od wolnej woli pewnych istot.

Nad tym znajduje się płaszczyzna astralna - świat uczuć, pragnień, pożądań. O tej sferze można by pisać dużo i sensacyjnie. Niech nam wystarczy, że jest to świat rządzący się pod wieloma względami prawami odwrotnymi do fizycznych. W fizycznym życiu nasze pragnienia odczuwamy jakby wypływające z nas. W świecie astralnym odczuwamy je jako idące ku nam. Nasze dobre myśli i życzenia postrzegamy jako dobre, nawiedzające nas istoty, Nasze złe żądze, nasze porywczkie myśli i zamiary przeciw innym postrzegamy w świecie astralnym jako dzikie bestie rzucające się na nas. Gdy na siłę wyrwamy coś komuś, to my tracimy, gdy z serca darujemy - poszerza się nasze posiadanie. Wszyscy mamy oprócz ciała fizycznego i eterycznego, również astralne. Przy śmierci zrzucamy z siebie ciało fizyczne, przez jakiś czas posiadamy jeszcze eteryczne i widzimy swoje przeszłe życie pozaczasowo. Potem zrzucamy i ciało eteryczne i w ciele astralnym przeżywamy ponownie to, cośmy zdziałali na Ziemi. Każdy przeszedł dobry czyn napelnia nas radością, każda krzywdą wyrządzona komuś, nawet każda chęć wyrządzenia krzywdy, każde złe słowo i zła myśl boleśnie nas atakuje. Dla człowieka wiedzącego, że to jest oczyszczenie przed wejściem do wyższych warstw bytu, jest to bolesny ale pełen nadziei czyściec. Dla tego, kto nie wzbogacił się na ziemi wiarą, kto nie pojmuje nic ze spraw duchowych, jest to piekło bez nadziei. Przez zrozumienie swoich złych postępów na Ziemi, przez prawdziwą spowiedź możemy zmniejszyć lub nawet zupełnie zgasić cierpienia w sferze astralnej po śmierci. Ale o spowiedzi nie będę tu pisał.

W sferze astralnej można się przekonać, że w dziedzinie moralnej panują równie ściśle prawa jak prawa fizyki rządzące sferą materialną. Nagroda za właściwe moralnie czyny, kara za niewłaściwe, to nie są jakieś uznaniowe dowolne orzeczenia niebieskich sędziów, ale ściśle konsekwencje tego, co robimy. Widzimy też, że te prawa nie ograniczają się do jednego naszego życia, ale do wielu wcieleń i dotyczą zarówno życia ziemskiego, jak i życia bezcielesnego. Ale poznajemy też, że nie są to jakieś prawa sztywne ujęte w paragrafy i punkty lecz uwzględniające wszystkie warunki moralne, wszystkie „okoliczności łagodzące i obciążające”. Poznajemy, że jedni mogą wspierać innych w ich trudnych przeżyciach, że wśród tych praw działa łaska Boża łagodząc to, co może złagodzić z korzyścią dla rozwoju świata. Dopiero na tej płaszczyźnie można zrozumieć coś istotnego z ofiary Chrystusa. Możemy też zrozumieć sens modlitw za dusze czyśćcowe.

Nad płaszczyzną astralną leżą płaszczyzny czysto duchowe. Bytują w nich ludzie, którzy zrzucili już swoje trzy ciała : fizyczne, eteryczne i astralne, a zabrali z nich ze sobą tylko to, co zostało przepracowane i uduchowione w czasie ziemskiego życia. Nie ma tam wzajemnych stosunków istot znanych ze świata fizycznego, ale są pierwowzory „ziemskich” stosunków. Istnieje świat pierwowzorów kształtu, odpowiadających kształtom nie tylko „naszej” geometrii. Istnieje wyższy do niego świat, z którego ten świat pierwowzorów kształtu wynika. Matematycy dla zrozumienia wzajemnego stosunku tych dwu światów mogą pomyśleć o jednoznacznych kształtach geometrii wykreślonej i wzorach geometrii analitycznej, gdzie przez różne interpretacje zmiennych, z jednego wzoru powstają różne figury.

Tu według prawideł otrzymywanych z jeszcze wyższych sfer kształtują się konkretne prawa fizyki i ustala to, co fizycy nazywają warunkami początkowymi.

Jeśli za pierwszy przyjmiemy poziom bytu fizyczno-eteryczny, drugi - astralny, to jako piąty poziom wypada nam przyjąć płaszczyznę bytu, zwaną w ezoteryce buddyjskiej planem nirwany. Charakteryzuje się ona tym, że prawa przyczynowo-skutkowe, kauzalistyczne są tam tylko jedną z możliwości, ale nie obowiązują. Jest to najwyższy plan bytu, o którym potrafimy jeszcze z sensem pomyśleć ziemskim rozumem. Trudno nam sobie wyobrazić jednak jakiegokolwiek działanie nie mające jakiegóż przyczyny i nie wywołujące jakiegóż skutku. Dlatego wielu ludzi bytowanie w planie nirwany wyobraża sobie jako wyzbycie się wszelkiego sensu, po prostu jako niebyt. Dlatego czasem się mówi o rozplynięciu się, o zatraceniu się w nirwanie. Ale jest to właśnie plan najspanialszego bytowania, działania bezprzyczynowego, niczym nieograniczonej twórczości, działania prawdziwie Boskiego, w którym uczestniczyć potrafią tylko najwyższe byty anielskie i istoty ponadhierarchiczne.

Zarówno wielcy mistycy, jak i ezoterycy mówią jeszcze o szóstym i siódmym planie, o szóstym i siódmym niebie. Wymienia się ich nazwy i powiada, że nie wiadomo, czy nie ma jeszcze wyższych.

To, co napisałem jest ogromnym skrótem, wstępem do wprowadzenia w przedmiot. W języku polskim istnieje sporo literatury, niestety omawia ona poruszone tu tematy tylko na marginesie innych spraw. Czytelnikom znającym język niemiecki mogą natomiast polecić notatki z wykładów Rudolfa Steinera „Podstawy ezoteryki” wygłoszonych w roku 1905. Jest to tom 93a jego dzieł zebranych (Gesamtausgabe 93a) Rudolf Steiner - *Grundelemente der Esoterik - Notizen von einem esoterischen Lehrgang in form von einunddreißig Vorträgen*. - wyd 2. Dornach 1976, gdzie przy pewnym wysiłku umysłowym można się zapoznać dokładniej z tematem. Byłoby dobrze, aby ta książka ukazała się kiedyś w polskim tłumaczeniu.

St.F.

KTO JEST ŚWIADECTWEM ?

Kościół jest świadectwem dla świata. Bóg dał światu świadectwo, jest nim Kościół. Bóg nie tylko uratował swój lud ze świata, ale tak, jak wysłał Syna na świat, tak samo posyła Jego uczniów. W ten sposób Kościół ma podwójną rolę: po pierwsze jest społecznością zbawionych, a po wtóre jest świadectwem. Jezus połączył obie te funkcje w jedno mówiąc, że jeśli sól utraci swój smak, na nic się już nie przyda (Mateusz 5:13). Znamienne jest to, że papież Jan Paweł II chwalał młodzież za to, że jest solą ziemi, „zapomniał” dodać, że sól może jeszcze utracić swój smak. Być może nie spodobałoby się to młodzieży.

Niestety nauczanie chrześcijańskie jest inne: nie młodzież jest solą ziemi, ale - wierzący, niezależnie od wieku. W zjednywaniu sobie ludzi przy pomocy pochlebstw chrześcijanie są bardzo ostrożni. Nie można mówić, że wszystko jest wspaniałe, bo to nieprawda. Świat jest grzeszny, każdy człowiek jest grzeszny, a zbawieni są tylko ci, którzy radykalnie poszli za Jezusem. Stąd już widać, że nie może istnieć coś takiego jak „Kościół masowy”. Jeżeli coś jest masowe, to nie opiera się na świadomej decyzji, tylko na emocjach. Wiara emocjonalna, to ziarno, które pada na skalę - nie wydaje owocu. I rzeczywiście: wszystkie Kościoły masowe dzielą Lud Boży na kler i (nic nie mogących) laików. Do składania świadectwa jest powołany duchowny, a laik współuczestniczy w jego posłudze przez dawanie pieniędzy. Ostatnio, co prawda, głosi się konieczność składania świadectwa przez wszystkich wierzących, ale tak naprawdę nie wychodzi to poza puste deklaracje. Jest mała grupa profesjonalistów świeckich, którzy mają za zadanie obsługiwać prasę, ale tak naprawdę są to nieistotne wyjątki. Zasadniczy podział na niemy i tępy laikat, i rozgadany kler pozostaje. Zupełnie nie odpowiada to tekstowi Ewangelii Mateusza (5:13), gdzie każdy uczeń jest traktowany równo - jest świadectwem. Zróznicowanie posług wynika z obdarowania takim lub innym darem, udzielanym przez Ducha Świętego, który nie daje się zamknąć w wąskich ramach prawa wyznaniowego. Chociaż zawsze były pewne formy organizacyjne: starsi, nadzorcy, pasterze...

Jan Jasnorzewski

PROSTACZKOWE ZDZIWIENIA

W najśmielszych myślach Prostaczka nie powstawało przypuszczenie, że artykuł „Prostaczka rozważania z siostrami betankami w tle” („Praca nad sobą” zeszyt 47) wywoła szerszy oddźwięk i to w środowiskach - mówiąc ogólnie - intelektualnych. Dość szybko po ukazaniu się wymienionego zeszytu „Pracy” dotarły do Prostaczka głosy dotyczące wywodów w artykule tym zawartych. Wypowiedzi te pochodziły ze środowiska inteligencji rzymskokatolickiej, z tym, że autorzy wypowiedzi zastrzegali sobie anonimowość. Jeden tylko oponent wypowiedział się publicznie (patrz list doktora Bronisława Borzenowskiego do redakcji „NIE” nr 51-52/2007 str. 29). Anonimowość wyżej wspomniana nie dotyczyła treści wypowiedzi, więc Prostaczek czuje się upoważniony do ustosunkowania się do głosów oponentów. Szczególnie, że publiczne wystąpienie dra Borzenowskiego jest w części jakby synteza pozostałych ocen wywodów Prostaczka i to upoważnia do skupienia się na jego wypowiedzi.

Symptomatyczne w głosach na tle wywodów Prostaczka było skoncentrowanie się oponentów na naruszeniu *sui generis* „świętości”, czyli wywodów Księdza Draguty zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” i porównanie ich z wywodami redaktorki Daniszewskiej w „NIE”. Co więcej, za niedopuszczalne oponenti potraktowali prostaczkowe wskazania na artykule Daniszewskiej, jako przykład tolerancji tak dla teologów, jak i „Tygodnika Powszechnego”. Inne, istotne aspekty związane ze sprawą betanek, a poruszane przez Prostaczka, nie były przedmiotem zainteresowania oponentów. *Sapienti sat!!!*

Podstawą do wywodów Prostaczka będzie wspomniany list doktora-religioznawcy Borzenowskiego do Redakcji „NIE”. Taki sposób umożliwił Czytelnikom poznanie meandrow jakimi wędrowała myśl dra Borzenowskiego i osób myślących podobnie...

Łódzki, zawodowy doktor-religioznawca oświadczył, że wywody Prostaczka sprawiły mu uciechę i to głównie w części wskazującej redaktorkę Daniszewską jako wzór do naśladowania między innymi dla „Tygodnika Powszechnego”. Prostaczek wyraża radość, że przed Bożym Narodzeniem mógł poprawić nastrój naukowca, któremu w uprawianej dziedzinie nauki - jak sam pisze - „*trudno o uciechę*”. Dalej Prostaczek ma tylko zarzuty wykazujące braki wiedzy (*sensu stricto*) po stronie w/w naukowca. Zaczniemy od tej części listu dra Borzenowskiego do redakcji „NIE”, który nie miał bezpośredniego związku z artykułem Prostaczka.

Mariawickiemu biskupowi F. Feldmanowi nie przysługiwał tytuł arcybiskupa i nigdy się takim tytułem nie posługiwał. Zresztą mariawici byli dość oszczędni w stosowaniu tytułomani kościelnej. Błądzi więc dr Borzenowski widząc w biskupie Feldmanie arcybiskupa. Również - jak widać - wybiórczo dr Borzenowski czytał „Pracę nad sobą” i nie zauważył, że nie jest to pismo Kościoła Mariawitów, jak to określa. Jest to pismo Zgromadzenia Mariawitów - patrz stopka redakcyjna i podtytuł aperiodyku. Różnica między Kościołem, a zgromadzeniem winna być wyraźna dla osób zawodowo parającymi się zagadnieniami wyznaniowymi. Doktor-religioznawca winien nieco więcej wiedzieć też o tak zwanej „kolaboracji biskupa Feldmana z Niemcami w czasie okupacji”, niż to wykazał w liście skierowanym do redakcji „NIE”. Otóż bezsporne jest (dokumenty!), że okupacyjne władze niemieckie otrzymywały donosy o żydowskim pochodzeniu biskupa Feldmana i jego powiązaniu z masonerią. Dla wielu przynależność do masonerii była często związana z pochodzeniem żydowskim. Wydaje się dość powszechną wiedzą, że tego rodzaju zarzuty w tym czasie stanowiły śmiertelne zagrożenie. Biskup Feldman, wezwany przez gestapo do złożenia wyjaśnień, musiał udowodnić swoją aryjskość i brak więzi z masonerią. Postępowanie wyjaśniające wykazało, że był pochodzenia niemieckiego (rodzina pochodziła z terenów Kurlandii), a i z masonerią nie miał powiązań. W tej sytuacji stanął on przed alternatywą: przyjąć obywatelstwo niemieckie, lub narazić się władzom niemieckim. Historia wykazała jakiego rodzaju mogły być konsekwencje narażenia się władzy hitlerowskiej (w konsekwencji nawet obóz koncentracyjny). Biskup wybrał

rozwiązanie pierwsze. Nie Prostaczki oceniać decyzję biskupa. Może warte jest podkreślenia, że przez okres pobytu w okupowanej Polsce (do czasu urzędowego nakazu wyjazdu do Niemiec) biskup Feldman w klasztorze płockim urządził - jako obywatel niemiecki - warsztaty produkcyjno-usługowe chroniące około 200 osób przed przymusową wywózką na roboty do Niemiec. W gronie zatrudnionych nie wszyscy byli mariawitami. Chronił też ludzi - w miarę możliwości - przez osobiste starania przed prześladowaniami hitlerowskimi. Szczegółowiej na ten temat pisze W. Ginter na łamach periodyku Towarzystwa Naukowego Płockiego powiązanego z PAN (patrz: Władysław St. Ginter - *Mariawici płoccy w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939-1942* „Notatki płockie” nr 1/206 z 2006 r str. 36-39). Była to więc dość dziwna „kolaboracja” z okupantem. Prostaczek zachęca doktora-religioznawcę do lektury tego artykułu. *Repetitio est mater studiorum*. Nadto rzetelny religioznawca poruszający ten temat winien wiedzieć, że po wojnie władze polskie usprawiedliwiły czyn biskupa Feldmana i zezwoliły mu na powrót do kraju. Wiem, że nie był on Schiendlerem i o jego działaniach pisać, ani nakręcać filmu się nie będzie. Jednak warto - dla prawdy naukowej - o przywołanych faktach wiedzieć i mówić.

B. Borzenowski oburzył się także zaleceniem Prostaczka, aby polscy teolodzy, w tym i redakcja „Tygodnika Powszechnego” brali wzór z redaktorki Daniszewskiej i z „NIE”. Tylko się nie dopatrył, że Prostaczek nie wskazywał na wywody Daniszewskiej jako na wzór ekumenizmu - jak chce tego doktor-religioznawca - lecz tolerancji. Różnica między ekumenizmem, a tolerancją winna być klarowna dla ludzi nauki. Prostaczek zaniecha wobec tego wywodu na ten temat.

Dla Prostaczka radością był fakt zmagania się teologów i religioznawców z kościelną terminologią: „schizma”, „seкта” i „herezja” przy okazji pisania o betankach. Wspomniany w „Pracy nad sobą” teolog ojciec Zięba określił wszystkich nie uznających prymatu papieża rzymskiego (w tym *ipso facto* mariawitów) za sekciarzy. Ksiądz Draguła uznał mariawitów za herezję. Doktor Borzenowski traktuje mariawitów jako schizmę. Propozycja Prostaczka brzmi: kościelni religioznawcy i teologowie, ustalcie terminologię, ponieważ wstyd błędzić po manowcach nauki Kościoła rzymskiego. Czyżby wyniknęło jakieś nowe pomieszczenie języków?!

Na koniec dr Borzenowski głosi ciekawą teorię. Oto za całe zamieszanie wywołane artykułami: redaktora Daniszewskiej i Prostaczka winę ponosi redaktor Urban z „NIE”, ponieważ ojciec redaktora przed wojną jeździł na spotkania z biskupem Feldmanem do Płocka i pisał pozytywnie o mariawitach. Zaiste - argument ten nie tylko trąci naiwnością. Jest on z grona twierdzeń używanych, gdy brak nam dowodów rzeczowych. Był czas, gdy propagandziści zwalczający tak zwanych kapitalistów w swej bezradności zarzucali; „a u was bije się Murzynów”!!! „Tonący brzytwy się chwyta”.

Na wstępie listu do redakcji „NIE” dr Borzenowski pisał o swej uciechce z artykułu Prostaczka.. Prostaczek, po analizie listu dra Borzenowskiego, ogromnie się zmartwił wiedzą niektórych religioznawców i wykonywaniem w praktyce przez nich przyrzeczenia składnego przy nominacji doktorskiej. *O tempora, o mores!!!*

Ignacy Stobiecki

DWA AFORYZMY

Jeśli zachłysnąłeś się wodą, wcale nie znaczy, że osiągnąłeś głębię. Może leżysz w kałuży?

Milczą na ogół ci, którzy mają najwięcej do powiedzenia. Oni jednak wiedzą, że nie mają tego komu przekazać...

Honorata Korpikiewicz

Długoletniej naszej autorce

Filozofowi, Kosmoeologowi, Miłośnicze Ludzi i Przyrody

Honoracie Korpikiewicz

z okazji otrzymania

profesury

*gorące gratulacje oraz życzenia dalszej długiej i owocnej pracy naukowej w służbie Duchu
ku pożytkowi ludzi i wszystkich stworzeń Bożych*

składa Kolegium Redakcyjne



DZIĘKI CI LEKARZU

*Wielką łaskę mi uczyniłeś
 O Panie, który Jesteś w niebie
 Że zechciałeś na mnie spojrzeć
 Kiedy westchnąłem do Ciebie.
 Ty jesteś najlepszym lekarstwem
 Dla tych, co żyją w niedoli
 Ty wiesz jak pomóc trzeba
 Takjemu co cierpi i boli.
 Ty jeden wiesz jak ratować
 Zbłąkane w ciemnościach dusze
 Ty zawsze chcesz mi pomagać
 Nawet Cię prosić nie muszę.
 Ty jeden wiesz jak się robi
 Elikśir życia wiecznego
 Nikt magii tej nie odkryje
 Bo to Ty wcielasz się w niego.
 Dzisiaj już wiem jak smakuje
 Twój napój pełen słodyczy
 Dzięki żeś Ty mi go podał
 Żeś mi skosztować użyczył.
 Spraw, abym nigdy nie stracił
 Wiary, nadziei, miłości
 Bym godnie spożywał Twój pokarm
 I pił Twój napój wieczności.*

Marek Suder



RECENZJE



KORZENIE MARIAWITYZMU



Chcę omówić wspaniałą książkę wydaną przez Katolicki Kościół Mariawitów: *Święta Maria Franciszka Kozłowska i Jej Zgromadzenia zakonne we wspomnieniach i pamiętnikach* - Felicjanów 2007. stron 324 z licznymi dobrymi fotografiami na kredowych wkładkach. Autorami książki są: ojciec Szymon Bucholc, siostra Waleria Fertner, siostra Teofila Elżbieta Dębowska oraz ojciec Jan Przyjemski. Książka składa się z przedruków. Powtarza opublikowane wprawdzie, ale dziś prawie niedostępne i zupełnie zapomniane zapiski. Są tam notatki z rozmów z matką Mateczki, siostrą Hortulaną, z których się dowiadujemy o jej rodzinie z czasów, gdy Mateczki jeszcze nie było na świecie, są zapiski z informacjami o pierwszych latach organizowania Żeńskiego Zgromadzenia w Płocku, i o czasach pierwszych objawień Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, oraz o zawiązywaniu się męskiego Zgromadzenia. Książka prostuje wiele błędnych poglądów, które się wdarły od zewnątrz do mariawityzmu, tak, że i sami mariawici gotowi byli w nie uwierzyć. Ot, wmawiano w nas, że żaden z biskupów nie był poinformowany o objawieniach Mateczki, i żaden nie wyraził zgody na założenie Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów. Z książki wynika jasno (podano daty i okoliczności), że płocki biskup Nowodworski na specjalnej audyencji rozmawiał z Mateczką o Jej objawieniach, a innym razem na egzemplarzu pierwotnych ustaw Zgromadzenia Kapłanów własnym podpisem zalecił je, aby służyły Bożej sprawie. To było wszystko, co mógł zrobić, bo użycie słowa „zatwierdzam” stanowiłoby przestępstwo polityczne wobec zakazu tworzenia nowych organizacji zakonnych. Był on więc opiekunem mariawitów nie dlatego, że ich dobrze nie znał, jak twierdzili nasi przeciwnicy, ale właśnie dlatego, że znał dogłębnie tajemnice, tej wobec caratu tajnej organizacji. Wmawiano w nas, że wydawane bezpiecznie, pod egidą biskupa Kulińskiego, do końca roku 1906 pismo „Maryawita” tylko przez zbieg okoliczności nosiło taką nazwę. Z książki się dowiadujemy w jaki sposób, kiedy i przez kogo idee mariawickie przeniknęły bezpośrednio do odtworzonej właśnie diecezji kieleckiej. Dowiadujemy się, że gdy ciemne chmury zaczęły się zbierać nad Dziełem Miłosierdzia i niesamowite donosy dochodziły do ojca Honorata, on wysyłał lotne wizytatorki do klasztoru Mateczki, które znajdując w różnych porach dnia wszystko w zakonnym porządku wracały z uspakajającymi wieściami. A więc nie prawda, że ojciec Honorat tylko dwa pierwsze lata był związany z mariawitami, co też nam chciano wmówić. Zapewne ta ostatnia legenda została wymyślona dla gładszego przeprowadzenia beatyfikacji ojca Honorata.

Książka została wydana w roku, w którym wypada 120-lecie założenia przez Mateczkę Zgromadzenia Sióstr Ubogich świętej Matki Klary, 100-lecie wyboru na pierwszej Kapitułe ojca Michała Kowalskiego na Ministra Generalnego całego Związku Mariawitów, zarazem stulecie przyjęcia w naszym Kościele języków narodowych, jako liturgicznych i kilka jeszcze innych rocznic. Omówienie całości treści tej książki obfitej w zapomniane, dziś nieznane fakty nie byłoby celowe. Sądzę, że każdy znajdzie w niej dla siebie coś nowego i godnego zastanowienia, że każdy mariawita lub zainteresowany mariawityzmem powinien tę książkę kupić, przeczytać i wracać do niej. Wiem, że wiele placówek mariawickich - bynajmniej nie tylko „felicjanowskich” - zamówiło zbiorowo po wiele jej egzemplarzy. Powinny to zrobić wszystkie. Ja tu natomiast chcę nie tyle napisać formalną recenzję, ile się podzielić myślami o mariawityzmie, jakie mi przyszły po przestudiowaniu książki.

* * *

Dzieło Wielkiego Miłosierdzia Bożego zostało nam dane przez Mateczkę i tak jak dla głębszego poznania Dzieła Zbawienia dobrze jest wiedzieć, że Święta Rodzina miała obywatelstwo Betlejem, ale mieszkała w Nazarecie, w Galilei i że święty Józef był cieślą, tak dla zrozumienia pewnych dróg Dzieła Miłosierdzia dobrze się dowiedzieć kim byli najbliżsi krewni Mateczki. Muszę powiedzieć, że choć zawsze wiedziałem, że była to rodzina szlachecka, nie wiedziałem, że miała tak szeroki gest i fantazję. Ojciec Mateczki szukał sobie długo żony i zrywał z kolejnymi narzeczonymi, gdy się okazywały nieidealne. (Cechy charakteru się dziedziczy! Myśl biegnie do tego jak starannie i „wybrednie” doбираła Mateczka swoich współpracowników). Gdy mieli przyjechać goście, matka Mateczki potrzebując saminy wysyłała do lasu mężczyznę po dwie sarny. Oczywiście dla gości szła przy okazji saren odpowiednia liczba gęsi, kur... Gdy ojciec zginął w powstaniu, matka z pomocą rodziny nadal utrzymywała wysoki standard życia. W nie biednych warunkach spędzała Mateczka dzieciństwo. Wprawdzie przez jakiś czas była prywatną nauczycielką (w rodzinie generała!), ale w zamiarach matki miał to być, tylko krótkotrwały epizod. Gdy zaszła potrzeba, matka miała za co kupić nieruchomość w Płocku pod klasztor dla córki. Wydaje się jakby cała młodość była wielką próbą życiową dla Mateczki. Mogła używać życia, założyć sobie zamożną rodzinę, być prawdziwą panią. Mateczka przeszła zwycięsko przez próbę - wybrała inną drogę. Inaczej, głębiej rozumiem teraz różne wypowiedzi i posunięcia Mateczki, gdy wiem, że była w swojej młodości materialnie pieszczona przez los, choć zarazem duchem przeżywała cierpienia narodu, po przegranej powstaniu, w którym ona straciła ojca nie zdążywszy go nawet poznać. Wychowywana była w pruderyjnych obyczajach dziewiętnastowiecznych (mąż wchodził do pokoju żony pukając, aby jej nie zobaczył niekompletnie ubranej). Gdy potem Mateczka już jako przełożona Zgromadzenia musiała się poddać operacji, cierpieniem był dla niej fakt, że jej nagie ciało musieli widzieć mężczyźni: chirurg i anestezjolog. I dziś kobiet-chirurgów jest niewiele, a wówczas nie było wcale.

Dzieło Miłosierdzia zostało objawione Mateczce, zakonnicy w Kościele Rzymskokatolickim. Książka opisuje nam ogólną atmosferę kościelną przełomu XIX/XX wieku i to, co panowało w tych zgromadzeniach, które usiłowały nie tylko co do litery, ale i co do treści ściśle się podporządkować prawom kościelnym. Członek zgromadzenia za wolę Bożą względem siebie miał bez zastrzeżeń przyjmować wolę swego bezpośredniego przełożonego, a wola papieża rzymskiego była uważana za najwyższy wyrok nieba. O warunkach, aby to dotyczyło zakresu wiary i moralności a było wypowiedzane *ex cathedra* nikt nie myślał. Zakonnik był automatem wykonującym ogórne polecenia. Jeśli został obarczony jakąś funkcją miał obowiązek sam nieco myśleć, ale też tylko w granicachznaczonych mu przez wyższą władzę. Gdy masz czas, możesz się modlić, ale nie wsłuchuj się zbyt w głos Boży, bo wpięć posłuszeństwo, a potem nabożeństwo - taka była wykładnia.

Nieco świeżego powietrza znalazło się wokół osoby ojca Honorata Koźmińskiego. Mając z Watykanu uprawnienia do zakładania skrytych zgromadzeń z rosyjskim zaborze Polski był w obszernej sferze działań niezależny od biskupów, a kontakty ze swoimi zwierzchnimi władzami zakonnymi i dykasteriami watykańskimi miał nader skromne. Toteż mógł się w większej mierze kierować sumieniem i rozumem niż wola przełożonych. Mateczka, która od dzieciństwa umiała nie tylko słyszeć głos Boga, ale również zadawać Mu pytania, wierzyła, że pełne życie duchowe może rozwinąć w zakonie oficjalnego Kościoła. Tymczasem kryła się przed światem ze swoimi przeżyciami duchowymi - wiedziała, że jej nie uwierzą. Życie w zakonie wydawało się jej spełnieniem marzeń. W naturalny sposób znalazła się w otoczeniu ojca Honorata. A ten po kilku innych próbach uznał ją za właściwą osobę do funkcji kierowniczych.

I tak otoczony ze wszystkich stron grubą skorupą religijnego przymusu, przestarzałych praw zakonnych, panującą w świecie pruderią, która zajęła miejsce moralności, i wreszcie nabytych przyzwyczajęń, których się tak trudno pozbyć, zaczął się formować stały płomień prawdziwej miłości Boga podsycony przez kilka osób otaczających Mateczkę. Z grubej, skostniałej zewnętrznej skorupy orzecha wyrastał drobny, wąty kielek i rozwijał się w żywą roślinę mogącą się stać ogromnym drzewem. Ten obraz powstał w mojej wyobraźni po przeczytaniu tej książki. Bóg chciał, aby Dzieło Miłosierdzia powstało w czasie i miejscu, w których najtrudniej mogło być pojęte i zrozumiane, ale też tam, gdzie go najbardziej było potrzeba. Zrozumienie tego faktu zawdzięczam przede wszystkim omawianej książce. Ale to pozwoliło mi pojąć mariawityzm nie jako gotową rzecz, ale jako rozwijający się organizm.

I teraz na nowo widzę historię mariawityzmu. Wzrastający kielek nie może się oderwać od razu od skorupki. Wpięć musi okrzepnąć. Mateczka nie zmieniła od razu reguły życia zakonnego. Zachowano zasadę pełnego (a pierwotnie nawet ślepego!) posłuszeństwa przełożonym. Zachowano tylko męskie kapłaństwo, celibat osób zakonnych. Wolne poruszanie się siostr reguły świętej Klary na zewnątrz domów zakonnych, traktowane pierwotnie jako wyjątek wobec położenia skrytego zgromadzenia (aby przystępować systematycznie do Komunii Świętej, trzeba było wychodzić do kościoła) zostało przedłużone jako zasada, ale teoretycznie papieška reguła klarysek została zachowana. Dość szybko odrzucono wiarę w nieomylność człowieka i w konieczność zbiorowego zwracania się do Boga po łacinie, ale wiele z dawnej skorupy pozostało.

Wraz z ofiarną śmiercią Mateczki kielek się usamodzielił. Resztki skorupy nie były mu już potrzebne. Nastąpiły słynne reformy mariawickie, Komunia Święta wiernych pod dwiema postaciami, również dla dzieci, indywidualna spowiedź przed *Sanctissimum*, małżeństwa osób zakonnych, kapłaństwo kobiet. Dzieło Miłosierdzia zaczęło bujnie wzrastać. Stare listowie pomatu zaczęło się zmieniać na nowe. Niektóre wydawnictwa mariawickie z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku reprezentują ten stan przejściowy. Obok pięknych zasad, branych wprost z objawień Dzieła, znajdziemy tam krepujące ducha zasady formalizmu rzymskiego.

Staram się zrozumieć tych, dla których tempo reform było zbyt szybkie, którzy nie potrafili pojąć ich potrzeby. I chyba rozumem tych, którzy widząc cel przed oczyma czasem zapominali wyraźnie pouczyć tych pierwszych o co idzie sądząc, że tamci powinni sami odczuć właściwą drogę. Tak narastały nieporozumienia i przyszedł nieszczęśliwy rok 1935. Wzrastające drzewo mariawityzmu zostało jakby piorunem rozpolowione, i w wyniku tego nastąpiły potem dalsze odłamania. Późniejszy rozwój to już drobne zielone pędy, które jednak mogą się stać nowymi pniami objawiającymi światu prawdziwe, niezafalszowane, nieocenzurowane Dzieło Miłosierdzia.

Niektórzy zbierają z pietyzmem pokruszone kawałki dawnej, macierzystej skorupy chcąc otoczyć nimi współczesny mariawityzm, odtworzyć stan mariawityzmu z roku 1921, a może z 1925. Niestety tak zbierana w pewną całość organizacja kościelna, wietrzeje i się rozpada.

Dla mnie niezmiernie ważny jest list pasterski arcybiskupa Michała z 7 listopada 1935 roku, krążący dawniej tylko w odpisach, a opublikowany drukiem po raz pierwszy w „Pracy nad sobą” (zeszyt 35, s. 14 – 2004). Opublikowanie tego listu wywołało niezadowolone wielu mariawitów. A cóż jest jego treścią. Wzywa on do tego co chciałbym nazwać stanem ostatecznym Kościoła, wzywa do pełnego zrealizowania Dzieła Miłosierdzia, gdzie każdy będzie kapłanem, gdzie woli Bożej będzie się już szukać nie w woli przełożonego, ale w głosie Bozym słyszonym w sumieniu. Czy ten list zapowiada zniesienie zakonnosci? Ja widzę jego wypełnienie, gdy cały Kościół stanie się zgromadzeniem zakonnym Dzieła Miłosierdzia. Jest to list proroczy, zapowiadający daleką przyszłość. Stosunkowo łatwo jest zorganizować zgromadzenie zakonne, gdzie członkowie mają biernie wykonywać wolę zwierzchników. Trudniej, gdy do celu ma prowadzić wspólna wola widząca duchową sytuację. Mylą się Ci, którzy sądzą, że z tego listu wynika potrzeba natychmiastowego zniesienia wszelkiej organizacji kościelnej i zakonnej, że już teraz każdy sam - gdy zechce - staje się kapłanem i ma władzę arcybiskupią. List głosi równość,

ale nie tożsamość pomiędzy kapłaństwem ludowym, a hierarchicznym. Najlepszy dowód w tym, że już po wydaniu tego listu sam arcybiskup Michał konsekwował na biskupa kapłana Andrzeja Fatoma, a jego następcy dokonywali dalszych konsekracji biskupich, święceń diakońskich i kapłańskich.

Omaiwana książka i przytoczony list to jakby dwie klamry spinające czasowo mariawityzm. Punkt wyjścia i punkt docelowy. Przed mariawityzmem jako całością stoi obecnie zadanie zaprzestania partykularnych, małostkowych sporów, zrozumienie, że Dzieło Miłosierdzia nie jest martwą, raz na zawsze daną, zastygłą strukturą, ale żywym organizmem podlegającym ewolucji, a w tej ewolucji muszącym się dostosowywać do ogólnej ewolucji świata. Inne były warunki ogólne w roku 1893, inne w 1906, 1918, 1921, 1934, 1945... Inne są dziś. Wolność ducha, osobista odpowiedzialność przed Bogiem, czego żąda Dzieło Miłosierdzia nie może być mylone z anarchią, z dowolnością działania. Szukajmy wspólnie takich czasowo najwłaściwszych form dla powołanego przez Boga Zgromadzenia, aby najlepiej pełniło dziś zadanie szczenia w świecie (nie tylko w Polsce!) Dzieła Miłosierdzia.

brat Paweł

Post Scriptum. Tak sobie myślę, że wielu się ze mną nie zgodzi, że ktoś po przeczytaniu tej książki może zapragnąć odtworzyć właśnie aromat pierwotnych lat mariawityzmu, może zechcieć odtworzyć zgromadzenie siostr i kapłanów na takich zasadach, jakie były przyjęte wtedy. A no cóż, niech spróbuje. Jeśli mu się to uda może być z tego coś pożytecznego, ale dalszej ewolucji nie uniknie. Cofnięcie się do lat dzieciństwa zawsze wabiło. *b.P.*

COŚMY ROBIŁI PRZED POCZĘCIEM?

O tym, co się dzieje z człowiekiem, z jego nieśmiertelnym członem po śmierci, istnieje obszerna literatura i chyba w każdym domu chrześcijańskim jest na ten temat coś do poczytania. Natomiast znacznie mniej znane są sprawy gdzieś bywali i cośmy robili przed wcieleniem, przed poczęciem. Brak literatury w tej dziedzinie został w pewnej mierze zlagodzony przez książkę Barbary Kowalewskiej *Życie przed życiem, prawa karmy i reinkarnacji*. Gdynia 2008. Niewielka 120-stronicowa książka opiera się wyłącznie na wypowiedziach Rudolfa Steinera, wybitnego chrześcijańskiego ezoteryka, który swoje badania opierał nie na orientalnych przekazach, ale na własnych obserwacjach pozazmysłowych i na dobrej znajomości zachodnich mistyków chrześcijańskich. O ile biorąc do ręki popularną dziś literaturę wschodnio-ezoteryczną możemy się spotkać ze starożytnymi prawdami poznanyymi przed ofiarą Zbawiciela, a więc dziś już nie aktualnymi, albo co gorsza z kompilacjami dokonanyymi przez ludzi nie mających do tego wystarczającej wiedzy, o tyle czytając Steinera jesteśmy pewni, że podane treści są zgodne z rzeczywistością duchową. Ważne jest to, że w wypowiedziach Steinera nie spotkano nigdy niczego sprzecznego z dogmatami Kościoła Powszechnego tak, jak są one dane w uchwałach siedmiu pierwszych soborów, choć można tam znaleźć rzeczy sprzeczne z prywatnymi, tak zwanymi „opiniami teologicznymi” niektórych dzisiejszych teologów, zwłaszcza zachodnich.

Autorka książki nie czując się samodzielną badaczką duchową niewiele mówi od siebie, natomiast przytacza liczne cytaty z dzieł Steinera oraz 24 innych autorów. Tu następuje przykra maniera, której można by łatwo uniknąć. Mianowicie na zbyt wielu stronicach książki występuje imię „Rudolf Steiner”, na niektórych stronicach występuje ono nawet czterokrotnie. Czytającemu sprawia to czasem wrażenie, że książka jest nie o losach duszy ludzkiej w ujęciu Steinera, ale o Steinerze. Ponadto jest to woda na młyn tych, którzy twierdzą, że zamiast kontynuacji dzieł i działań Steinera tworzy się obecnie kult wokół jego osoby. Uniknęłoby się tego, gdyby raz na początku autorka napisała, że wszystkie cytaty nie określone inaczej, pochodzą z dzieł Rudolfa Steinera. Ewentualna wzmianka w nawiasie z jakiego dzieła i ewentualnie stronicy jest coś wzięte, nie będzie robiła tak nieprzyjemnego wrażenia, choć wobec udokumentowania każdego rozdziału

na końcu książki, chyba nie będzie to potrzebne. Piszę o tym defekcie na początku, ponieważ jest on wyjątkowo dokuczliwy dla czytelnika. Mam nadzieję, że w następnym wydaniu książki (a książka zasługuje na dalsze wydania) ta usterek zostanie usunięta. Przy okazji w kilku miejscach dobrze będzie poprawić polską terminologię (na stronie 102. Autorka stawia równość pomiędzy określeniem „chór anielski” i „hierarchia anielska” itp.)

Zaczawszy - wbrew zwyczajom recenzentów - od usterek przejdę teraz do zalet książki. Otóż godna chwaty jest mrawcza praca wydobyta danych dotyczących tematu z tak obszernej puścizny literackiej Steinera (ponad trzysta tomów Dzieł Zebranych). Nie znam nikogo, kto by mógł się dotąd poszczycić znajomością tych wszystkich faktów, które zostały zebrane w tej książce. Nawet czytelnik dobrze zapoznany z tematem znajdzie tu dla siebie nowe wiadomości, lub nowe ujęcia wiadomości znanych. W części pierwszej, która zajmuje mniej więcej połowę książki, a którą należy uznać za jej główną część, z rozmaitych punktów widzenia przyglądamy się bezcielesnemu bytowaniu nieśmiertelnych dusz ludzkich, ich związku z tym co się dzieje na tym świecie. Pewne rzeczy się powtarzają w kilku rozdziałach, ale w różnych ujęciach. Druga, krótsza część omawia ogólne prawa wiążące życie wcielone na Ziemi z przebywaniem w światach wyższych.


Na końcu dodana jest dokumentacja poszczególnych rozdziałów, czyli odsyłacze do literatury, spis literatury źródłowej obejmujący 51 dzieł Rudolfa Steinera i 46 innych autorów, w tym kilkanaście dzieł w języku polskim. Jest też dwanaście stron przypisów, gdzie między innymi możemy się dowiedzieć, że określenie „Trójca Święta” nie jest - jak sądzą niektórzy - niesprawdzalnym wymysłem teologów, lecz bezpośrednim doznaniem duszy, które można w sobie wzbudzić będąc nawet na początku ścieżki rozwoju duchowego. Podane są pewne ćwiczenia prowadzące do bardziej świadomego kontaktu z tymi, co są w innych światach, teksty medytacji danych w tym celu przez Steinera, w języku polskim i ich brzmienie oryginalne po niemiecku. Słowem książka jest nie tylko dziełem „teoretycznym”, opisującym bytowanie w sferach duchowych i nasz kontakt z tam bytującymi (świętymi obcowanie), ale również zawiera praktyczne wskazówki dla pragnących osobiście się zbliżyć do wyższych światów. Mariawici umieli się zawsze modlić, adorować to, co święte, medytować. Zachęcam do kupienia tej ciekawej i pożytecznej książki.

Brat Paweł

Książkę można zamówić pod adresem:
Wydawnictwo GENESIS, ul. Wzgórsze Bernadowo 300/1
81-531 Gdynia. tel/fax: 058-620-16-50 tel: 058-620-27-75
e-mail : genesis@oknet.com.pl



LISTY DO REDAKCJI

**WYNAGRADZAĆ ZA INNYCH...****Wynagradzać za kogoś - czy to nie pycha?** 

Wydaje mi się, że obowiązkiem mariawickim jest odprawianie adoracji ubłagania. Potwierdzenie tego przeświadczenia znajduję w objawieniach Mateczki. Czytamy w nich o wynagradzaniu za innych, ale ten obowiązek spoczywał na Mateczce, która miała wynagradzać za kapłanów. Na mariawitach spoczywa obowiązek adoracji ubłagania (*Początek związku*, akapit 46, *Dzieło Miłosierdzia* s.28). Nie bardzo znajduję w innych częściach Objawień zalecenia, aby adoracja wynagradzająca odnosiła się do wszystkich mariawitów. Rozumiem, że Mateczka – jako wybrana Boża - mogła w swych modlitwach i w życiu codziennym wynagradzać za innych, w tym za kapłanów sprzeniewierzających się swemu powołaniu. Mam jednak obawy, czy przeciętny mariawita, adorujący Przenajświętszy Sakrament, ma prawo uważać się też „za wynagradzającego za innych”?! Człowiek jest „marnością świata” mimo, że stworzony jest na obraz i podobieństwo Boże. Ludzkie ułomności stawiają rzeczywistą przeszkodę w uznaniu, że mam się modlić za innych. Czy w przyjęciu założenia, że wynagradzam za innych, nie popełniam grzechu pychy - grzechu wynoszenia się nad innych ludzi?! Doskonale wiem, że w mariawickich formułach modlitewnych są treści o wynagradzaniu za osoby trzecie. Tylko się rodzi w mym umyśle podczas odmawiania tych modlitw wątpliwość – czy nie do mnie w tym momencie stosuje się nakaz „Jekarzu ulecz się wpiers sam”!

Leszek Krawczyk z Lublina

Adoracja wynagradzająca 

Zdaję sobie sprawę z mariawickiego zalecenia, aby ofiarować adorację za siebie i innych, którzy „nie chcą znać i miłować” Boga. Równocześnie, podobnie jak siostra Dominika, (patrz: Praca nad sobą zeszyt 47 s. 28) mam poważne wątpliwości, czy w trakcie modlitwy wynagradzam za innych. Obowiązki, głównie zawodowe, wypełniają mi większą część dnia. Wracam do domu zmęczona, często obciążona koniecznością wykonania pilnych prac „na jutro”. W wyniku tego bywa, że moja codzienna modlitwa jest krótka, może nie zawsze pełna skupienia. Nie będę kryła, że są dni, w których modlitwa ta z wymienionych przyczyn jest symboliczna. Dopiero w innym terminie mogę więcej czasu poświęcić na modlitwę, która jest w takiej sytuacji wynagrodzeniem – jak mi się wydaje – za moje zaniedbania z dni poprzednich. Odczuwam wtedy jakby niepokój, gdy wymawiam adoracyjną formułę o wynagrodzeniu za innych. W praktyce to ja przez swoje zaniechania modlitewne, w mym sumieniu jakby usprawiedliwionym przez nawał obowiązków, nie adoruję należycie Boga. Wobec tego powstaje pytanie, czy mam prawo wynagradzać za innych? Może to ja przez swoje zaniedbania znalazłam się w grupie, za którą wynagradzać mają w modlitwie inni? Problem nie jest łatwy do rozstrzygnięcia. Życie wciąga nas w pułapki określane jako brak czasu. Nie wykluczam, że pułapek tych można byłoby uniknąć, gdybym zakres mych obowiązków filtrowała przez zasadność prac, ich społeczną przydatność i korzyści płynące z nich dla mnie. Zasadność, przydatność i korzyści winny być

oceniane nie przesłankami materialnymi, lecz rzeczywistymi uzasadnieniami merytorycznymi. Aby jednak dokonywać takiego wartościowania sposobu wykorzystania czasu należałoby przeprowadzić analizę własnego ducha, wspiać się na wyższy stopień zaangażowania religijnego. Zdanie sobie sprawy z tej konieczności wywołują następne pytanie – czy stać mnie na takie duchowe zaangażowanie z uwagi na materialne potrzeby mojej rodziny?! Konsekwencją takich pytań będzie chyba rodzinne ustalenie wartości, które wszyscy członkowie rodziny będą uznawali. Dopiero wtedy będę może mogła sama - i inni członkowie mej rodziny - znaleźć czas na modlitwę za siebie i innych, którzy „nie chcą znać i miłować Boga”.

siostra Adela

Publikujemy dwie ostatnie otrzymane wypowiedzi na naszą ankietę „wynagradzać za innych”. W następnym zeszycie pragniemy omówić całość tych wypowiedzi, wyciągnąć z nich wnioski. Osoby pragnące się jeszcze wypowiedzieć, zachęcamy o nadesłanie swoich wypowiedzi przed zamknięciem redakcji następnego zeszytu, co nastąpi w początku sierpnia.

redakcja



Z regału teologów

ŻYCZLIWOŚĆ RELIGIJNA

W toczących się dyskusjach między ludźmi religijnymi i niereligijnymi brak wzajemnej życzliwości. Postawy empatii, próby wczucia się w postawę drugiej strony. Ot przykład pierwszy z brzegu. Książka *Bóg urojony* Richarda Dawkinsa bezpardonowo atakujący wszelkie przekonania religijne i odpowiedź na jego zarzuty Alistera McGratha, również w formie książki (skromniejszych rozmiarów) *Bóg nie jest urojonym. Złudzenie Dawkinsa*. Jeden i drugi autor ma swoich gorliwych obrońców i również żarliwych oponentów. Postawą najsensowniejszą wydaje się zawieszenie osądu. Ale jednak tak się nie da. Trzeba wybrać i opowiedzieć się, a w każdym razie należy wyrobić sobie własny osąd.

Może to zabrzmieć dziwnie, ale właśnie w religii postawa empatii jest nie tylko możliwa, ale wręcz konieczna jeśli mamy źródłowy kontakt z doświadczeniem religijnym. Każde odcięcie się od tych korzeni owocuje obumieraniem religii jako takiej albo, co jest jeszcze gorsze, jej wynaturzeniem w różne formy fundamentalizmu. Dla ilustracji tej może nazbyt optymistycznej tezy posłużyć się dwoma przykładami. Jednym będzie książka Krzysztofa Jana Pawłowskiego *Dyskurs i asceza*, w której pokazuje on nie tylko możliwość, ale właśnie konieczność czerpania z różnych źródeł religijnych. Pawłowski pracuje w Uniwersytecie Śląskim i jak można przypuszczać dzieli się swymi poszukiwaniami z tamtejszymi studentami. Drugim punktem odniesienia będą przemyślenia niezwykle oryginalnego myśliciela Tomasza Węclawskiego, który pokazuje jak można, troszcząc się o człowieka, przezwyciężyć podziały religijne i światopoglądowe. Węclawski przez lata pracował jako teolog rzymskokatolicki, przed kilku laty stworzył i prowadzi Pracownię Pytań Granicznych w Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i w jej ramach realizuje swój program przezwyciężania podziałów między ludźmi. Odwołuję się do książek, bo należę do tych ludzi, którzy opierają swoje widzenie rzeczywistości na przeczytanych lekturach. Nie jest to obraz pełny i pewnie nie do końca prawdziwy, no ale póki co książki wyznaczają moje widzenie świata; może się to kiedyś zmienić, wtedy napiszę inny tekst.

Zygmunt Bauman w swoich licznych pracach zwraca uwagę na negatywne, a nawet zatrwajające konsekwencje globalizacji, która w sposób nieodwołalny zdominowała rzeczywistość u progu XXI wieku. Przenikliwe intuicje autora *Płynnej nowoczesności* znajdują potwierdzenie w doświadczeniu niemal codziennym mieszkańców tego, coraz mniej wygodnego, globu. Co tu dużo mówić, jest to doświadczenie każdego z nas.

A jednak warto się pokusić o diagnozę alternatywną. Nie jest to łatwe, ale nie jest to niemożliwe. Spośród licznych prób pojawiających się w ostatnich latach, głównie w Stanach Zjednoczonych i w Azji, w teologii chrześcijańskiej, na uwagę zasługuje propozycja rodzima. Krzysztof Jan Pawłowski już w swojej pracy doktorskiej udowodnił, iż potrafi łączyć idee zrodzone w różnych kontekstach kulturowych i religijnych. *Wąska ścieżka prawdy, Rozważania na podstawie filozofii jogi klasycznej oraz nauki św. Jana od Krzyża* wyraźnie wskazywała na wyższość drogi zaproponowanej przez chrześcijańskiego mistyka. A raczej należałoby powiedzieć na wyższość mądrości krzyża nad ścieżką jogi. Po dziesięciu latach autor *Wąskiej ścieżki prawdy* nie zrezygnował z artykułowanego w latach dziewięćdziesiątych przekonania, że tylko Logos Wcielony jest najpełniejszą odpowiedzią na niepokój ludzkiego serca. Jednak w jego najnowszej propozycji pojawiło się znacznie więcej znaków zapytania z jednej strony, ale też zajaśniały punkty, których wcześniej nie było. Ta nowa książka to *Dyskurs i asceza*. Doświadczenie jest kluczowym pojęciem całego wywodu tej książki. Ono pozwala odwoływać się do tak odległych kontekstów kulturowych jak filozofia Heraklita, Sokratesa i samego Platona z jednej strony, a mistyka chrześcijańska i praktyki joginów z drugiej.

Można jeszcze przywołać świat islamskich sufich czy żydowskiej kabały i chasydów. To, co ich łączy to właśnie doświadczenie duchowe.

A teraz propozycja Tomasza Węclawskiego. „Potwierdzam, że 21 grudnia 2007 odstąpiłem od przynależności do Kościoła Rzymskokatolickiego”. To zdanie pojawiło się na krótko na forum Pracowni Pytań Granicznych. Wkrótce zostało zdjęte jako „nazbyt osobiste” jak na charakter wspomnianego miejsca. Jak wyjaśnia sam Tomasz Węclawski pod datą 29 stycznia 2008 roku: „Forum zostało założone dla dyskusji na kwestiach podnoszonych przez Pracownię Pytań Granicznych UAM. Poza tym założyliśmy fora dla dyskusji związanych z poszczególnymi zajęciami. Jak wszystkie fora, mają one służyć rozmowie między ich uczestnikami, a nie korespondencji ze mną, czy innymi osobami w wymiarze prywatnym. Służyć ono bowiem winno debacie i wymianie poglądów, a nie omawianiu osobistych decyzji założyciela Pracowni”. Tak więc komentarzem do lakonicznego stwierdzenia o apostatach są wykłady i teksty Tomasza Węclawskiego. Siegnijmy więc do nich.

Nie należę do tych, których decyzja apostata teologa katolickiego zdumiała, wpisuje się ona bowiem w najlepsze tradycje polskiej myśli humanistycznej, która wpłynęła na zachodnie oświecenie. Znana jest w literaturze przedmiotu jako myśl socyniańska bądź antytrynitarna. Najtrafniej należałoby ją jednak nazwać myślą humanistyczną lub bezdogmatyczną. Być może to właśnie Tomasz Węclawski swoim sprzeciwem wobec nadmieru dogmatu i przestroju dyscypliny w Kościele Rzymskokatolickim, połączonej z ucieczką od myślenia, pozwolił nam nawiązać do tej zapomnianej karty polskiej religijności. Została ona przerwana w 1658 roku gdy arianie zostali wydalen z Polski na mocy uchwały sejmowej, tym samym tradycje polskiej tolerancji religijnej zostały przerwane. Skutki tej decyzji były zgubne nie tylko dla arian, którzy zmuszeni do opuszczenia Polski wywarli jednak znaczny wpływ na Kościoły reformowane na Zachodzie Europy, ale i na sam katolicyzm, który pozbawiony ożywczej konfrontacji z innymi wyznaniem, coraz bardziej się zasklepił we własnym dogmatyzmie zapominając o źródłach swej własnej wiary.

W każdym razie myśl Tomasza Węclawskiego stanowi całość. Całość spójną i logiczną. Jeśli mnie coś dziwi, to fakt, że tak długo potrafił godzić przynależność do instytucji, której konkretne przejawy w Polsce tylko z ogromnym trudem można łączyć z przekonaniem wyrażanym w jego książkach. A może publikacja tekstów z przyzwoleniem władz kościelnych była próbą zmiany tej instytucji od wewnątrz, z przekonaniem, że jednak istota Kościoła katolickiego nie do końca da się wytłumaczyć zachowaniami jego przywódców? Nie wiem i prawdę powiedziawszy nie jestem pewien czy odpowiedź na tak postawione pytanie ma sens. Przekonujący komentarz do aktu odstąpienia od przynależności do Kościoła Rzymskokatolickiego znajduję w stwierdzeniu Heinricha Rombacha: „Jeśli człowiek tworzy sobie nową konstytucję podstawową, tym samym zmienia swą istotę i na nowo organizuje swój stosunek do świata i Boga”. Widocznie do 21 grudnia 2007 roku było to możliwe w ramach Kościoła Rzymskokatolickiego, po tej dacie już się nie dało. I tyle. Czy ta decyzja zmienia wartość tekstów napisanych przed jej podjęciem? Dla mnie nie. Ich walor przekonywania się nie zmienił; być może zwiększyła się ich siła perswazji. Teraz już wiem na pewno, że napisał je Tomasz Węclawski, a nie teolog reprezentujący konkretną instytucję i w jej imieniu mnie pouczający. Próbuję je więc zrozumieć bez obarczania ich wartością naddaną (czy umniejszania ich znaczenia, jak to się zdaje czynić większość komentatorów „zaszkokowanych decyzją apostata”), wsłuchując się w nie jak w strofy poezji Rumięgo, który o sobie tak pisał:

*Oto ja: czasem ukryty, czasem ujawniony
Czasem nabożny muzułmanin, czasem Żyd i chrześcijanin.
Bo żeby dotrzeć do każdego serca,
Dzień w dzień inną twarz przybieram.*

A może dotarcie do każdego serca jest nie do pogodzenia z przynależnością do jakiegokolwiek instytucjonalnej religii? Może jest tak, jak powiada Rumi: „Wiedz, że w religii miłości nie ma wierzących i niewierzących. Miłość obejmuje wszystkich”. Jeśli tak to może i odejście od jednej formy instytucjonalnej przynależności jest tylko wejściem w świat nieograniczony, otwarty, w królowanie Boga?

Stanisław Obirek

ZAWARTOŚĆ ZESZYTUbrat Paweł - **Niebo religijne – niebo astronomiczne.** – s.1St.F. - **O prawach „nie fizycznych”.** - s.3Jan Jasnorzewski - **Kto jest świadectwem?** – s.5Ignacy Stobiecki - **Prostaczkowe zdziewienia.** - s.6Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy.** – s.8Kolegium Redakcyjne - **gratulacje Honoracie Korpikiewicz.** - s.8Marek Suder - **Lekarzu!** - s.9**RECENZJE**brat Paweł - **Korzenie mariawityzmu.** - s.10brat Paweł - **Cośmy robili przed poczęciem.** - s.13**LISTY DO REDAKCJI:**

WYPOWIEDZI W ANKIECIE: WYNAGRADZAĆ ZA INNYCH:

Leszek Krawczyk z Lublina - **Wynagradzać za kogo, czy to nie pycha?** s.15siostra Adela - **Adoracja wynagradzająca.** - s.15**Z REGAŁU TEOLOGÓW**Stanisław Obirek - **Życzliwość religijna.** s.17

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: brat M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl . Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolnie cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów – 20 zł. Należność należy przysłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,35 zł) podając dokładny adres nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.